

Staniszowskie wzgórza zimą

Gdy tylko wyjeżdżamy z Jeleniej Góry, mijając z prawej Kopki (zasługujące na naszą uwagę i spacer po nich), dostrzegamy wyłaniające się przed nami niepozorne wzgórze porośnięte lasem. Jest to Staniszówka mająca tylko 441 m n.p.m. Miejscowi nazywają ją Księżą Górą albo Księżówką, gdyż jakiś czas temu stała się ona własnością kościelną. Wzgórze to wygląda bardzo ciekawie gdy patrzy się na nie od strony stawów rybnych zwanych Balatonem. Zwłaszcza dzisiaj (18.01.2013 r.) kiedy świeży puch zabielił całą okolicę a wodę zaczął skuwać lód posypany śniegiem, w którym widnieją czarne plamy podciekającej wody. Czasami można tutaj trafić na siedzącego nad wykutym przerębłem marznącego wędkarza mającego nadzieję na jakąś zdobycz. Dzisiaj jednak nie ma nikogo. Pewnie lód jest jeszcze zbyt słaby. Powietrze jest tu czyste, a z rzadka o tej porze jeżdżące samochody nie hałasują za bardzo. Widok jaki roztacza się przed nami jest tak zachęcający, że bez chwili namysłu ruszamy w las, by nikłą ścieżką piąć się pod górę. Już dostrzegamy spore skały leżące na zboczu. Biel śniegu nie została jeszcze zmacona śladami stóp człowieka. Nie widać nawet, żyjących tu przecież, zwierząt. Dochodzimy do szczytowych skałek. Tutaj dostrzegamy pierwsze ślady przebiegających tędy zwierzątek. Jedne ślady są drobne i gęste, prowadzące jak po łańcuszku. Drugie, grubsze, widnieją w pewnej odległości od siebie. Nie jesteśmy w stanie rozpoznać jakie zwierzęta je zostawiły. Możemy tylko snuć domysły. Niestety, gdy wydaje nam się, iż już osiągnęliśmy szczyt, okazuje się, że jest to jedynie jeden z kilku wierzchołków góry. Widoczny nieco dalej jest nieco wyższy i to właśnie jego należy uznać za nasz główny cel. Idziemy zatem dalej. Gołym okiem widać, że nie będzie to już takie łatwe. Czeką nas teraz spory wysiłek. Stromizna jest bardzo duża.



Staniszówka wznosząca się nad Balatonem. Foto: Krzysztof Tęcza

Wreszcie osiągamy szczyt. Jest on cały usłany grzebieniami skalnymi. Wejście tutaj, jak się wkrótce okazało, nie należy do łatwych. Naprawdę można się spocić. A i, ze względu na świeży śnieg, nie jest

bezpieczne. W sumie jest tu ładnie tyle, że ze względu na rosnące wysokie drzewa nie ma stąd żadnych widoków. Nawet najmniejszych. Nie zepsuje to jednak naszego dobrego nastroju wywołanego spacerem na świeżym powietrzu. Spowoduje jedynie krótszy odpoczynek i przyspieszy chęć zejścia na dół, do drogi. I dopiero teraz zobaczymy jaką stromą górą jest Staniszkówka.

Jak było do przewidzenia zejście na dół wcale nie było łatwiejsze niż podejście na szczyt. Dobrze, że jest tu sporo ścieżek i można korzystając z nich, w miarę bezpiecznie, „ześlizgnąć” się w stronę pól otaczających wzniesienie.



Gaik – widok z Witoszy. Foto: Krzysztof Tęcza

Jesteśmy przy kościele Przemienienia Pańskiego, w samym środku Staniszowa. To właśnie tutaj, zaraz za cmentarzem, na którym kilka lat temu stawialiśmy nowy kamienny krzyż, widać ścieżkę prowadzącą w las, na widoczne zalesione wzgórze o nazwie Gaik (461 m n.p.m.). Właściwie gdyby nie ciemne pnie rosnących tu drzew całe wzgórze byłoby jedną wielką białą plamą. Po obejrzeniu kościoła ruszamy tą właśnie ścieżką i łagodnie wznosimy się coraz wyżej. Oglądając się za siebie widzimy chorągiewkę umieszczoną na wieży kościelnej. Znajduje się na niej data 1784. Niżej widzimy tarczę zegarową. Ponieważ zegar działa nie należy się dziwić gdy usłyszymy jak wybija godziny. Ciekawość wzbudza sporych rozmiarów głąz na placyku przed kościołem. Jest to pozostałość po znajdującym się tutaj pomniku ofiar wojny w 1870 roku. Tuż przed wejściem na teren cmentarza leży oparty o skarpę nagrobek. Wryty na nim napis upamiętnia Oswalda Jakel. Z miejsca tego widzimy wszystkie trzy wzgórza znajdujące się w pobliżu. Widzimy Witoszę, nieco przesłoniętą bryłą kościoła, wzgórze Czop oraz Gaik, na który właśnie ruszamy. Jak się wkrótce okaże mimo, że idziemy wydawałoby się łagodną ścieżką, dalsza droga jest o wiele trudniejsza niż wspinaczka na Staniszkówkę. Zwłaszcza gdy świeży śnieg przykryje, tak jak dzisiaj, skaliste podłoże. Jest wówczas bardzo ślisko. Niewyraźne ślady dowodzą, że ktoś już dzisiaj szedł tędy na spacer ze swoim zwierzęciem. Po chwili mam spotkanie z samotnym psem, który wybrał się na zimowy spacer. Nie przejawia on zainteresowania moją osobą, nie jest jednak agresywny. Rozpoznaję w nim psiaka, który zawsze rano przychodzi pod sklep w oczekiwaniu na jakiś poczęstunek. Sam kilka razy podzieliłem się z nim śniadaniem, tzn. poczęstowałem go szynką wyciągniętą z bułki. Dochodząc do usytuowanych przy

granicy lasu zabudowań widzimy nad ich dachami panoramę gór z bardzo dobrze widocznym zamkiem Chojnik. Nieco bliżej, prawie zawsze pasą się krowki. Nawet teraz, gdy śnieg przykrył trawę. Oczywiście częściej skubią one siano z leżących tu bel ale widać też jak próbują wyskubywać roślinki spod śniegu. Ponieważ nie ma z tej strony wyraźnej ścieżki prowadzącej na szczyt, trzeba pójść nieco dalej, tak by zatoczyć lekki łuk i dopiero wtedy ruszyć ostro pod górę korzystając ze śladów saren, tędy biegających. Upewnimy się wtedy, że wybrana przez nie droga będzie najbardziej odpowiednia. Warto też przytrzymywać się drzewek i gałęzi. Pomoże to nam nie pokoziołkować na dół. Trzeba tylko pamiętać, że po świeżym opadzie śnieg z gałęzi oblepi nas szybko, tak że wkrótce będziemy wyglądali jak śnieżne bałwany. Dzięki jednak takim przeciwnościom nawet nie zauważymy kiedy dotrzemy pod szczytowe skałki. Co prawda patrząc za siebie, nie będziemy już pewni czy podążaliśmy śladami saren czy kozic. Tak bowiem z tej strony wydaje się stromo. Warto tutaj chwilę odpocząć, gdyż wejście na wznoszące się przed nami skałki nie należy do zbyt bezpiecznych. Nie ma jednak innej drogi na szczyt. Najlepiej wejść tam właśnie po widocznych skałkach z tym, że najbezpieczniej zrobić to na „czworaka”. Niestety tutaj drzewa także zasłoniły cały widok. Tym razem widzę, że jestem w dniu dzisiejszym pierwszą osobą, która tu dotarła. Ale tak jest przeważnie, gdyż mało ludzi decyduje się na wejście na sam szczyt. Jak się wkrótce okazało wejście na Gaik to jedno, a zejście to drugie! Droga na dół to wyższa szkoła jazdy. Mówimy oczywiście o okresie zimowym. Naprawdę można sobie połamać nogi. Tym razem miałem szczęście i wkrótce, zaliczając kilka razy niekontrolowane zjazdy na „czterech literach” wysunąłem się z lasu w okolicach kościoła. Zatoczyłem zatem pętlę.



Gęśle. Foto: Krzysztof Tęcza

Kolejne ciekawe wzniesienie znajduje się pod koniec wsi. Gęśle o wysokości 467 m n.p.m., to trapezowe wzgórze porośnięte lasem i z dwóch stron otoczone płotem oddzielającym prywatne działki. Latem miejsce to jest bardzo często odwiedzane przez grzybiarzy. Rośnie tu wiele gatunków grzybów. Sam znam tu miejsce, w którym można trafić na borowce dęte, bardzo smaczne, ale i bardzo rzadkie grzyby. Jednak zimą praktycznie nikt się tutaj nie zapuszcza. Może spowodowane jest to faktem, iż strome zbocza pokryte śniegiem są niezwykle ciężkie do pokonania. A do tego nie ma konkretnego celu dla spaceru na górę. Nie ma tam najmniejszych widoków. Wszystko zasłaniają

drzewa. Jedyny ciekawy widok roztacza się z pola przyległego do lasu. Ponieważ pole to jest moją własnością i nie ma obaw, że ktoś miałby pretensje, że depczę mu trawę, lubię tu przychodzić. Patrząc stąd widzę dom rodziny Kasperkiewiczów. Córka mojego sąsiada Jurka, Karolina, opisała niedawno kilka z przedstawianych przeze mnie wzgórz. Były to jednak opisy letnie. Mam zatem nadzieję, że moje opisy zimowe uzupełnią niejako wiadomości zamieszczone przez Karolinę.



Chatka Baby Jagi pod Czopem. Foto: Krzysztof Tęcza

Zanim wyruszymy na najbardziej znane wzniesienie w Staniszowie udamy się jeszcze na Czop. Zobaczymy tam Grenadierski Kamień. Jest to skała wspierająca się na małej powierzchni tak, że patrząc z boku wydaje się, iż zaraz spadnie na leżące poniżej zabudowania. Pewnie tak też wydawało się żołnierzom francuskim stacjonującym w okolicy, gdyż próbowali ją zepchnąć. Oczywiście nie udało im się to. Jednak od tamtej pory do skałki nazywanej, tak jak całe wzgórze, Czop, przylgnęła nowa nazwa, właśnie Grenadierski Kamień. Miejscowi mówią na nią także Francusa Skała. Aby dotrzeć do wykutych w skale schodków trzeba przejść pomiędzy domami. To właśnie tam do niedawna rósł piękny tulipanowiec. Zawsze w odpowiedniej porze chodziliśmy tam z wycieczkami by podziwiać jego kwiaty. Od pewnego jednak czasu nikt nie mógł go znaleźć. Jak się okazało drzewo pękło i tworzyło zagrożenie. Dlatego wydano zezwolenie na jego wycięcie. Szkoda, gdyż w okolicy jest tylko kilka takich okazów. Jednak sprawy bezpieczeństwa są na pierwszym miejscu i należy (wbrew różnym krążącym plotkom) sprawę uznać za zamkniętą. Okres zimowy sprzyja wypatrywaniu zasłoniętych latem liśćmi ciekawostek. Idąc dalej wzdłuż granicy lasu dotrzemy do ciekawego domku wykonanego częściowo z cegły, którą wypełniono puste miejsca w utworzonym z gładów naturalnym okapie skalnym. Jest to małe pomieszczenie z drzwiami i oknami oraz wykutym wewnątrz palenisku. Dawniej było ono wykorzystywane do ochrony pasących się w dzień na polance owieczek. Mało kto o tym wie ale najczęściej miejsce to nazywane jest Chatką Baby Jagi.

Na koniec dzisiejszej prezentacji czeka nas największe przeżycie. Stoję właśnie przed budynkiem starej remizy strażackiej. To właśnie stąd prowadzą na szczyt Witoszy kamienne schody. Jest ich tutaj kilkaset. Dobrze, że zamontowano tutaj metalowe poręcze. Są one w okresie zimowym niezwykle pomocne. Pierwsze spojrzenie pod górę może wywołać u niektórych przerażenie czy zniechęcenie.

Od ilości widzianych schodów może zakręcić się w głowie. Jednak ze względu na stromiznę należy być zadowolonym, że ktoś pomyślał o ułatwieniu wejścia i kazał zbudować schody. Ponieważ zawsze mnie to ciekawiło postanowiłem wchodząc na górę policzyć schody i ostatecznie wyszło mi, że jest ich tutaj ponad 490 (czteryście dziewięćdziesiąt). Sporo, prawda?

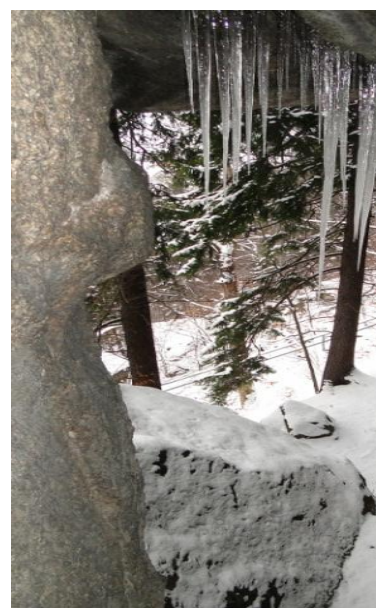
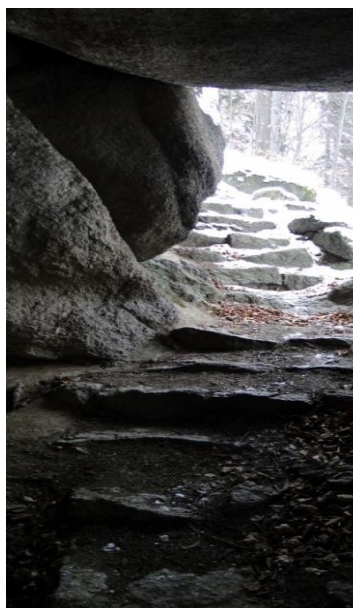
Ruszam pod górę. Wygląda, że jeszcze nikt dzisiaj nie zapuścił się tutaj. W świeżym śniegu nie ma żadnych śladów. Wkrótce widzę pierwszą z ustawionych tu wielu ławek. Można na niej przysiąść by odpocząć. Wkrótce dochodzimy do jaskini zwanej Skalną Komorą. Na skałach nad nią założono barierki ochronne co pozwala nam na wejście tam i próbę dojrzenia czegoś poprzez gałęzie rosnących tu drzew. Dobrze, że można chwycić się barierek gdyż patrząc bezpośrednio w dół zaraz dostalibyśmy zawrotu głowy. Po kamiennych schodach schodzimy do jaskini. Jest tu cicho i przytulnie. Można usiąść na ławeczce i odpocząć podziwiając zwisające wielkie sople. Mimo, iż na zewnątrz wszędzie leży śnieg tutaj wszystko jest zasypane suchymi liśćmi. Wywołuje to wrażenie, iż jest tutaj ciepło. Siedząc tak cichutko słyszymy tylko szczekanie psów z domów położonych poniżej.



Witosza. Foto: Krzysztof Tęcza

Idąc dalej docieramy do tablicy informacyjnej. Jest to pierwszy z opisów, których ustawiono tutaj więcej, gdy utworzono wiodącą tędy ścieżkę przyrodniczą o nazwie "Wzgórza Łomnickie". Przy kolejnych skałkach widzimy położone po sąsiedzku wzgórze Gęśle, na którym byliśmy nieco wcześniej. Patrząc w górę dostrzegamy cokół po pomniku Bismarcka. Niebawem będziemy mieli okazję wejść do miejsca zwanego Ucho Igielne a nieco dalej przejść przez Skalną Uliczkę. Są tu także skały ułożone tak, że można skorzystać z nich jak z kamiennych ławeczek. Trzeba jednak bardzo uważać bo mieszanka zalegających liści i nawianego śniegu jest niezwykle zdradliwa. Jesteśmy w miejscu, z którego na szczyt Witoszy wiodą dwie trasy. Możemy pójść w lewo albo w prawo. Najczęściej wszyscy wybierają trasę oznakowaną jako żółty szlak turystyczny i tak właśnie za chwilę pójdziemy. Proponuję jednak przejście nieuczęszczaną trasą tak by poznać pomijane widoki i ciekawostki, a następnie powrót do miejsca, w którym znajdujemy się obecnie.

Na sąsiednich skałach widać kilka umieszczonych tu w dawnych latach napisów. Najczytelniejszy to: Scholz 1794. Nad wejściem do widocznego skalnego okna zwisają wielkie sople. Niby nic takiego ale gdy idąc dalej dotrzemy do okna, z którego one zwisają dopiero wtedy dotrze do nas jak są one wielkie. By tam dotrzeć schodzimy ze schodków i pod barierką wchodzimy do widocznego tunelu. Tworzy on jakby drugie piętro jaskini o długości nieco ponad 20 metrów, wysokości do 4 metrów, a szerokości maksymalnie do 2 metrów. Z tym, że jest też miejsce gdzie zaczepia się ramionami o ściany. Na końcu tego korytarza trzeba uważać by nie spaść, gdyż zapatrzeni w zwisające tutaj sople możemy nie zauważyć, że pod nogami kończy się grunt.



Jaskinie na Witoszy. Foto: Krzysztof Tęcza

Po przejściu kolejnych kilkudziesięciu schodów docieramy do miejsca, w którym z prawej prowadzi ścieżka, o której wspominałem poprzednio. Stąd widać już cokół wysadzonego po wojnie pomnika. Jego granitowe kawałki leżą na całym zboczu. Widać nawet na nich poszczególne litery tworzące kiedyś napis. Przed pomnikiem ustawiono drewniany stół i ławeczki, z których bardzo chętnie korzystają turyści. Ustawiono także kubeł na śmieci. Szkoda tylko, że nie jest on opróżniany co jakiś czas. Gdy już rozsiądziemy się wygodnie na ławeczce oniemiejemy z zachwytu. Widok jaki roztacza się stąd na góry jest niesamowity. Najbliżej, bo po przeciwnej stronie doliny, w którą wciśnięte są zabudowania Staniszoła, widać wzgórze Gaik. Widać nawet opisywane stado krów. Aby nie przegapić czegoś proponuję wyjąć mapę i porównywać to co widzimy z danymi na niej zawartymi. Tak będzie najlepiej.

Aby nie wracać na dół tą samą drogą najlepiej udać się za pomnik i widoczną tam ścieżką zejść do miejsca, z którego można zobaczyć resztki pomnika. Należy jednak być niezwykle ostrożnym. Trasa ta latem jest bardzo niebezpieczna do schodzenia a co dopiero zimą. Zwłaszcza teraz, kiedy wszystko jest przykryte grubą warstwą świeżego śniegu, pod którym znajdują się spadłe z drzew suche liście. Do tego jeszcze śliskie skały. Aby nie być gołosłownym powiem, że sam chowając do kieszeni notes i długopis, zaczynam ostrożnie stawiać stopy. Nic to jednak daje i po dwóch krokach lecę ślizgiem w dół. Całe szczęście, że pośrodku ścieżki rośnie jakieś drzewko. Zatrzymuję się na nim. Dalsze jednak 200 metrów wygląda tak samo. Daję sobie zatem spokój z próbą dotarcia do kamieni z pomnika.

Myślę jak najbezpieczniej dotrzeć do widocznego wypłaszczenia. Najlepiej byłoby usiąść na tyłku i zjechać. Tak też czynię. Gdy już docieram do w miarę bezpiecznego miejsca wyglądam jak bałwan. Wszystko mnie boli. Mam dowód, że połączenie śniegu, liści i skał to mieszanka, nad którą nie można zapanować. Cieszę się, że wszystko skończyło się tylko na kilku siniakach. Uznaję, że na dzisiaj mam już dość i ruszam żółtym szlakiem w stronę domu. Oczywiście po chwili zbaczam z niego i wygodnie przez pole sąsiada docieram do lasu koło mojego domu. Po dotarciu do niego siadam przy kominku i przy trzasku płonących polan delektuję się ciepłą herbatką z miodem i cytryną. W końcu jestem w domu!

Krzysztof Tęcza